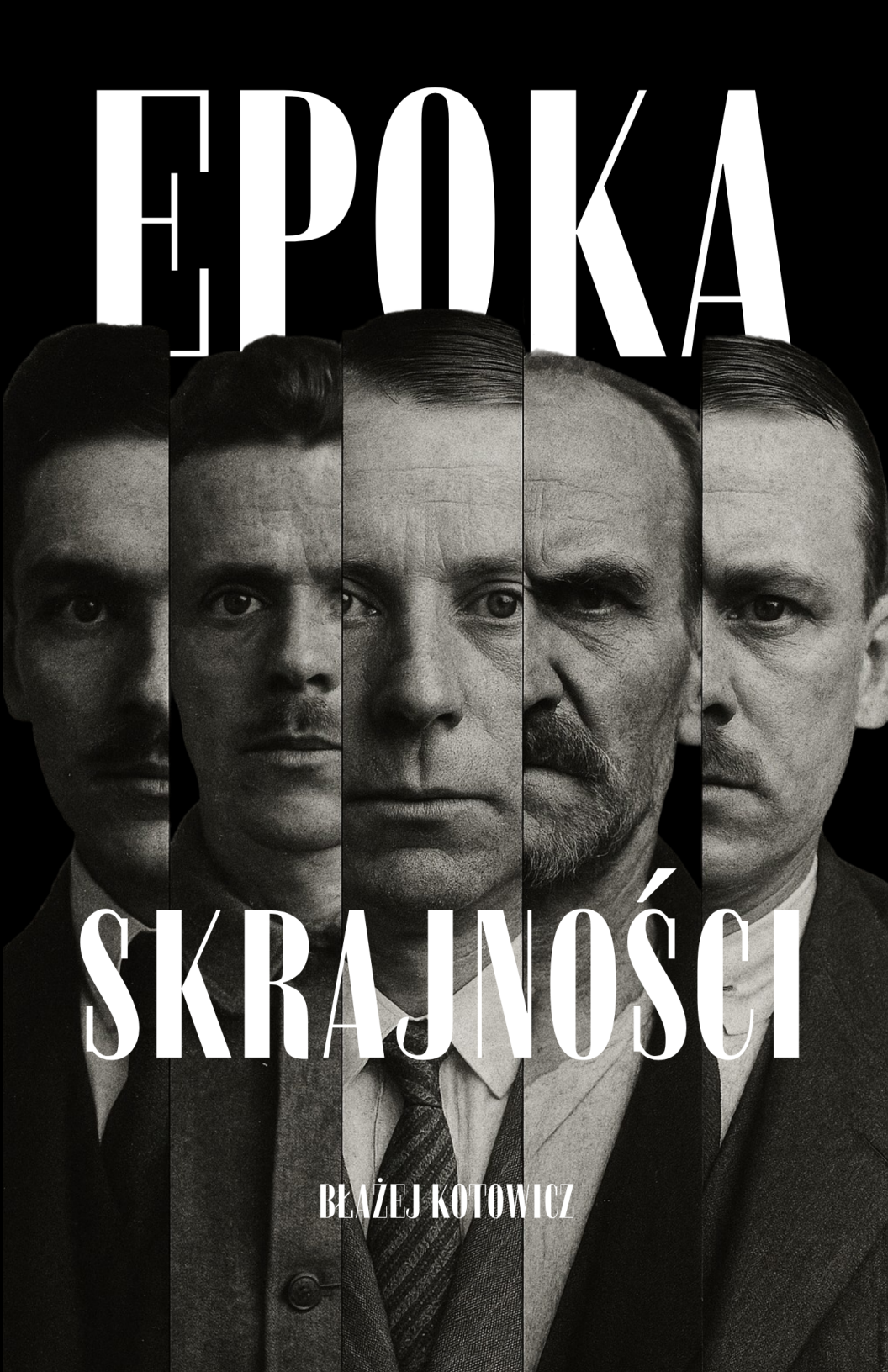


EPOKA



SKRAJNOŚCI

BŁAŻEJ KOTOWICZ

I
ROZDZIAŁ
I



FRITZ HAARMANN

FRITZ HAARMANN - BESTIA Z HANOWERU

Fritz Haarmann, znany później jako "Wampir z Hanoweru", przyszedł na świat 25 października 1879 roku w Hanowerze, w epoce, która choć z pozoru stabilna, skrywała w sobie zalążki chaosu i sprzeczności, które miały ukształtować jego życie. Był szóstym, najmłodszym dzieckiem Johanny i Olliego Haarmannów - pary, której związek odzwierciedlał emocjonalną niestabilność i konflikty, będące codziennością ich domu. Historia jego wczesnych lat to nie tylko opowieść o dzieciństwie naznaczonym osobistymi dramatami, ale także głębokie studium psychiki, która pod wpływem traum, odrzucenia i społecznych nacisków stopniowo przekształcała się w coś mrocznego i niekontrolowanego. Aby zrozumieć, jak Haarmann stał się jednym z najbardziej przerażających seryjnych morderców w historii Niemiec, musimy cofnąć się do jego początków - do momentów, które zasiały ziarno patologii, kielkującej w cieniu hanowerskich ulic.

Fritz urodził się w rodzinie robotniczej, w czasach, gdy Cesarstwo Niemieckie przeżywało industrialny rozkwit, a Hanower stawał się ważnym ośrodkiem przemysłowym. Jednak w domu Haarmannów nie było miejsca na optymizm epoki.

Matka Johanna, kobieta o łagodnym usposobieniu, rozpieszczała Fritza, traktując go niemal jak swoje ukochane dziecko, które miało wynagrodzić jej trudy życia z mężem. Ollie Haarmann, ojciec Fritza, był z kolei człowiekiem surowym, porywczym i nieprzewidywalnym - kolejarzem, którego alkoholizm i wybuchy gniewu rzucały cień na domowe życie. Te dwie skrajności - nadopiekuńczość matki i brutalność ojca - stworzyły dla Fritza świat pełen sprzeczności, w którym miłość mieszała się z lękiem, a bezpieczeństwo było ulotne.

Jako dziecko Fritz wyróżniał się spokojem i wycofaniem. W przeciwieństwie do rówieśników, którzy spędzali dni na ulicznych zabawach, on wolał samotność lub towarzystwo siostry, bawiąc się jej lalkami i zakładając jej sukienki. Te zachowania, dziś być może uznane za niewinne przejawy indywidualności, w konserwatywnym środowisku końca XIX wieku były postrzegane jako odstępstwo od normy. Chłopiec w sukience szybko stał się obiektem drwin kolegów, którzy wyśmiewali jego "zniewieściałość" i izolowali go od grupy. To odrzucenie społeczne, choć z pozorów błahe, stało się pierwszym ciosem w kształtującą się psychikę Fritza - uczyło go, że bycie sobą oznacza wykluczenie i wstyd.

Sytuacja pogorszyła się w szkole, gdzie Fritz, już i tak naznaczony jako "inny", padł ofiarą molestowania ze strony jednego z nauczycieli. Ten incydent, choć Haarmann nigdy o nim otwarcie nie mówił, pozostawił głębokie blizny. Przemoc seksualna, której doświadczył, była nie tylko fizycznym naruszeniem, ale także zdradą zaufania - nauczyciel, figura autorytetu, wykorzystał jego izolację i bezbronność.

To doświadczenie mogło zasiać w nim zarówno nienawiść do władzy, jak i wypaczone postrzeganie seksualności, które później znalazło ujście w jego zbrodniach. W domu nie znajdował ukojenia - ojciec, widząc w synu słabość, karmił go za brak męskości, podczas gdy matka, nieświadoma głębi jego cierpienia, nadal otaczała go nadmierną troską. Fritz dorastał w emocjonalnej pułapce, gdzie nie było miejsca na wyrażenie bólu ani na odnalezienie stabilności.

W okresie dojrzewania Haarmann zaczął ujawniać mroczne skłonności, które zwiastowały jego późniejsze zbrodnie. W wieku szesnastu lat popełnił pierwsze znane przestępstwa seksualne - wabił młodszych chłopców do ciemnych piwnic, gdzie dawał upust swoim pragnieniom. Te akty nie były jedynie młodzieńczym eksperymentem - miały w sobie element przymusu i dominacji, wskazując na rozwijającą się psychopatię. Złapany przez władze, trafił do szpitala psychiatrycznego w Hildesheim w 1896 roku, gdzie lekarze zdiagnozowali u niego zaburzenia psychiczne o podłożu seksualnym, uznając jego stan za nieuleczalny. Diagnoza ta była jednak tylko chwilowym przystankiem - Haarmann uciekł z placówki, odmawiając przyjęcia roli pacjenta czy ofiary systemu.

Po ucieczce próbował wieść życie zwykłego obywatela. W wieku siedemnastu lat zaręczył się z panną Erną, młodą kobietą, która zaszła z nim w ciążę. Związek ten mógł być szansą na stabilizację, ale rozpadł się pod ciężarem jego podejrzliwości i konfliktów z ojcem, który nie akceptował narzeczonej syna.

Erna poroniła, a Fritz, pozbawiony wsparcia i perspektyw, wrócił na ulice Hanoweru. Próbował znaleźć miejsce w wojsku - w 1897 roku wstąpił do armii, widząc w niej szansę na zdyscyplinowanie swojego życia. Jednak wątle zdrowie, w tym napady padaczkowe i bóle głowy, zmusiły go do rezygnacji po zaledwie roku służby. Przyznano mu rentę inwalidzką, która dawała chwilową ulgę finansową, ale nie rozwiązywała jego wewnętrznego chaosu.

Po powrocie do cywila Haarmann zaczął popadać w drobną przestępczość - kradzieże i oszustwa stały się jego sposobem na przetrwanie. W 1900 roku został aresztowany za kradzież i skazany na kilka miesięcy więzienia, co zapoczątkowało spiralę konfliktów z prawem. Utrata renty po ujawnieniu jego przestępstw dodatkowo pogłębiła jego alienację. W tym okresie jego relacja z ojcem osiągnęła punkt krytyczny - Ollie, sfrustrowany "nieudanym" synem, groził mu wydziedziczeniem i publicznym upokorzeniem. Fritz, czując się zdradzony przez rodzinę i społeczeństwo, coraz bardziej zamykał się w sobie, a jego gniew i frustracja szukały ujścia.

Aby zrozumieć, jak Fritz Haarmann przekroczył granicę między człowiekiem a mordercą, musimy przyjrzeć się jego psychice i wpływom, które go ukształtowały. Jego dzieciństwo i młodość były naznaczone trzema kluczowymi czynnikami: traumą, odrzuceniem społecznym i brakiem stabilności emocjonalnej. Każdy z tych elementów odegrał rolę w budowaniu osobowości, która z czasem stała się zdolna do niewyobrażalnej brutalności.

Molestowanie w szkole było jednym z najcięższych ciosów, jakie otrzymał Haarmann w dzieciństwie. Przemoc seksualna, zwłaszcza ze strony autorytetu, mogła zaburzyć jego postrzeganie intymności i władzy, tworząc w nim mieszkankę wstydu, gniewu i pragnienia odzyskania kontroli. W późniejszych zbrodniach - gdy wabił ofiary, budził ich zaufanie, a potem brutalnie je zabijał - można dostrzec echo tej dynamiki: najpierw odgrywał rolę opiekuna, by następnie zdradzić i zniszczyć. Gryzienie w gardło, charakterystyczny element jego modus operandi, mogło być perwersyjnym odwróceniem roli ofiary - teraz to on zadawał ból, przejmując władzę, której kiedyś mu odmówiono.

Równie istotna była relacja z ojcem. Surowość i przemoc Olliego Haarmanna nauczyły Fritza, że miłość jest warunkowa, a słabość karana. To mogło zaszcześcić w nim nienawiść do męskości - zarówno tej, której od niego wymagano, jak i tej, którą widział w innych. Jego ofiary, młodzi chłopcy, byli w pewnym sensie symbolem tej znienawidzonej "męskości" - niewinni, bezbronni, a jednak reprezentujący świat, który go odrzucił. Zabijając ich, Haarmann symbolicznie niszczył to, czego nie mógł osiągnąć ani zaakceptować.

Dziecięce zabawy lalkami i sukienkami, choć niewinne, uczyniły z Fritza outsidera w oczach rówieśników. W konserwatywnym społeczeństwie Cesarstwa Niemieckiego, gdzie role płciowe były sztywno określone, jego "zniewieściałość" była postrzegana jako zagrożenie dla porządku. Drwiny i wykluczenie nauczyły go, że bycie sobą oznacza cierpienie – lekcja, która mogła przekształcić się w głęboką nieufność i wrogość wobec innych. W dorosłym życiu Haarmann często wybierał ofiary spośród marginesu społecznego – bezdomnych, prostytuujących się chłopców – być może widząc w nich odbicie własnej izolacji, a jednocześnie kogoś, kogo mógł kontrolować i zniszczyć.

Jego niepowodzenia w budowaniu trwałych relacji, jak zaręczyny z Erną, tylko pogłębiały to poczucie alienacji. Nieudany związek, zakończony poronieniem i zerwaniem, mógł wzmocnić w nim przekonanie, że jest skazany na samotność. Wojsko, które miało być ucieczką, również go odrzuciło, pozostawiając go bez celu i przynależności. W efekcie Haarmann zaczął postrzegać świat jako wrogi, a siebie jako kogoś, kto musi walczyć o przetrwanie – nawet jeśli oznaczało to przekroczenie moralnych granic.

Rozdzźwięk między nadopiekuńczą matką a brutalnym ojcem sprawił, że Haarmann nigdy nie rozwinął zdrowego poczucia tożsamości ani mechanizmów radzenia sobie z emocjami. Matka, chroniąc go przed światem, nie przygotowała go na jego surowość, podczas gdy ojciec, karząc za słabość, zasiał w nim poczucie nieadekwatności.

Ta emocjonalna niestabilność przejawiała się w jego impulsywności - od drobnych kradzieży po akty przemocy seksualnej. Napady padaczkowe, które zaczęły się w młodości, mogły dodatkowo zaburzać jego kontrolę nad sobą, pogłębiając chaos w jego umyśle.

W szpitalu psychiatrycznym, gdzie trafił jako nastolatek, Haarmann zetknął się z systemem, który uznał go za "nieuleczalnego". Ucieczka stamtąd była aktem buntu, ale także potwierdzeniem jego nieufności wobec autorytetów. Nie szukał pomocy, bo nie wierzył, że może ją otrzymać - zamiast tego zaczął budować własny świat, w którym to on ustalał reguły. Ten brak oparcia w rodzinie, społeczeństwie czy instytucjach stworzył próżnię, którą wypełniły jego najgorsze instynkty.

Początki życia Fritza Haarmanna nie determinowały wprost jego późniejszych zbrodni, ale stworzyły grunt, na którym mogły one wykiełkować. Trauma z dzieciństwa nauczyła go, że zaufanie prowadzi do zdrady, a słabość do cierpienia. Odrzucenie społeczne przekonało go, że nie ma dla niego miejsca w normalnym świecie, podczas gdy brak stabilności emocjonalnej pozbawił go hamulców moralnych. Wraz z wejściem w dorosłość - naznaczoną przestępczością, więzieniem i alienacją - te elementy zaczęły się krystalizować w coś bardziej niebezpiecznego.

Jego pierwsze przestępstwa seksualne były zapowiedzią tego, co miało nadejść - próbą odzyskania kontroli w świecie, który mu jej odmawiał. Kiedy po I wojnie światowej znalazł się w

chaosie Republiki Weimarskiej, bieda, bezrobocie i społeczny upadek dostarczyły mu idealnych warunków do działania. Młodzi chłopcy, zagubieni na dworcach, stali się łatwym celem dla człowieka, który w ich bezbronności widział odbicie własnego bólu - i szansę na jego uśmierzenie poprzez przemoc.

Fritz nie urodził się potworem, ale został nim ukształtowany przez otoczenie, które go złamało. Jego historia to tragiczne świadectwo tego, jak trauma i odrzucenie, pozostawione bez odpowiedzi, mogą przemienić niewinność w zło. Zanim stał się "Wampirem z Hanoweru", był chłopcem bawiącym się lalkami - a to, co stało się później, było mrocznym tańcem na krawędzi człowieczeństwa, który zakończył się w cieniu gilotyny.



Kamienica, w której mieszkał F.
Haarmann



Fritz Haarmann

DZIAŁALNOŚĆ HAARMANNA

Hanower, lata dwudzieste. Miasto dźwięczące stukotem końskich kopyt i samochodów poruszających się po brukowanych ulicach. W powietrzu unosił się zapach wilgotnego dymu z kominów i smaru kolejowego. W ponurych zaułkach, między piwnicznymi drzwiami i obdrapanymi fasadami budynków, czała się ciemność, która miała pochłonać dziesiątki młodych istnień.

Fritz Haarmann, mężczyzna o przenikliwych, ciemnych oczach i ujmującym uśmiechu, przemierzał ulice, z pozoru niczym nie różniący się od reszty mężczyzn odzianych w długie płaszcze i kapelusze. Jego sylwetka, lekko przygarbiona, wtapiała się w tłum, a gdy przystawał na rogach ulic, wydawał się niemal częścią krajobrazu. Ale było w nim coś jeszcze—coś, co budziło w ludziach niejasne, niepokojące uczucie, które jednak szybko znikало, gdy zaczynał mówić. Jego ton głosu miał w sobie ciepło i obietnicę bezpieczeństwa.

To właśnie ten głos był pierwszym hakiem, na który łapał swoje ofiary.

Każda z jego ofiar była inna, ale wszystkie miały pewną cechę wspólną—były młode, samotne i bezbronne. Uciekły z domów, przyjechały do Hanoweru w poszukiwaniu lepszego życia, szukały dachu nad głową lub choćby odrobiny ciepła. Haarmann znał te potrzeby i wiedział, jak je wykorzystać.

Wieczór. Nocne światła latarni rzucały długie cienie na bruk. Ostatni przechodnie spieszyli do domów, otuleni w płaszcze przed chłodem, który nadchodził wraz z nadciągającym zmercem. Na stacji kolejowej kręcili się młodzi chłopcy—niektórzy sprzedawali gazety, inni po prostu czekali na nie wiadomo co. Fritz wybierał ich ostrożnie, jego wzrok prześlizgiwał się po twarzach, aż napotykał tę właściwą—niedożywioną, bladą, pełną nadziei, ale i zmęczenia.

- Zgubiłeś się, chłopcze? - zagadnął pewnego razu młodego chłopca, który wyglądał, jakby właśnie przyjechał do miasta.

Chłopak, niepewny, ale wdzięczny za zainteresowanie, kiwnął głową.

- Jestem policjantem - powiedział Haarmann, sięgając do kieszeni i pokazując odznakę, którą ukradł lata temu. - Może powinienem ci pomóc?

To jedno zdanie otwierało drzwi. W tamtych czasach mundur i władza budziły respekt. Chłopiec, nie mając lepszej opcji, pozwalał, by Haarmann objął go ramieniem i poprowadził w stronę jego mieszkania.

Pokój Haarmanna był ciasny, duszny, pełen zapachu wilgoci i dymu tytoniowego. Pod ścianami stały stare meble, a na stole leżały porozrzucone gazety. Na półkach można było dostrzec kilka książek, choć ich grzbiety były zakurzone, jakby dawno ich nie otwierano.

Haarmann nalewał herbatę, a jego ofiara—często zziębnięta i głodna—rozgrzewała zmarznięte dłonie nad filiżanką. Przez chwilę czuła się tu dobrze. Bezpiecznie.

To właśnie ten moment był najgroźniejszy. Gdy napięcie opadało, gdy chłopiec zaczynał wierzyć, że miał szczęście spotkać kogoś, kto rzeczywiście chciał mu pomóc, wtedy nadchodziło uderzenie.

Haarmann, znany ze swojej brutalnej siły, rzucał się na ofiarę, zaciskając dłonie na jej gardle. Czasami robił to znienacka, czasami jednak pozwalał, by ofiara poczuła, że coś jest nie tak—że ta uprzejmość była jedynie maską.

Niektóre z jego ofiar miały czas, by poczuć strach. By zrozumieć, że są zamknięte w pułapce, w pokoju, z którego nie było wyjścia. Haarmann czerpał przyjemność z tego momentu świadomości, z tej chwili, gdy oczy chłopca rozszerzały się w przerażeniu.

- Cicho - szeptał, a potem jego zęby zaciskały się na gardle ofiary.

Tę technikę zabijania nazwano później „gryzieniem wilka”. Haarmann dosłownie rozszarpywał zębami gardła swoich ofiar, dławili się własną krwią, zanim ich ciała zwiotczały w jego ramionach.

Gdy było po wszystkim, Haarmann siadał na krześle, ciężko oddychając. Ciało chłopca leżało bezwładnie na podłodze, a on patrzył na nie z mieszaniną satysfakcji i spokoju.

Potem nadchodziła rutyna. Zdejmował ubrania z martwego ciała, starannie je składał, a następnie zabierał się do rozcłódkowania zwłok. W umywalce, nożem i piłką, rozcinał ciało na kawałki, które później wyrzucał do rzeki Leine. Kości często gotował, by pozbyć się resztek mięsa.

Niektóre plotki mówiły, że Haarmann sprzedawał mięso swoich ofiar jako jedzenie. Sąsiedzi wspominali, że często miał zapasy „dobrego mięsa”, które rozdawał lub sprzedawał na czarnym rynku. Twierdził, że zdobywał je od rzeźnika.

Nikt nie zadawał pytań.

Tak mijały tygodnie, miesiące. Haarmann wciąż polował. Każdy wieczór był powtórzeniem poprzedniego: znajomość zawarta na dworcu, ciepła herbata, morderstwo w ciszy, rozcłódkowanie, wyrzucenie szczątków do rzeki.

Niektóre ciała znaleziono. Czasem rybacy natrafiali na fragmenty kości, czasem dzieci bawiące się nad rzeką znajdowały kawałki odzieży. Ale Hanower był wtedy miastem, w którym wiele rzeczy ginęło w mroku.

Haarmann wiedział, że nie może zabijać wiecznie. Wiedział, że pewnego dnia przyjdą po niego. Ale dopóki tak się nie stało, noc należała do niego. I do jego ofiar.

Pod osłoną mrocznych, bezgwiezdných nocy, gdy Hanower zdawał się pogrążony w bezruchu, zaplanowana została operacja, która miała na zawsze odmienić losy miasta. Funkcjonariusze, którzy przez miesiące zbierali niepokojące dowody i skrzętnie monitorowali każdy ruch mordercy, przygotowali się na finałowy akt, w którym mrok ustąpi miejsca nieubłaganej sprawiedliwości.

W zaplanowanej pułapce policja postanowiła wykorzystać element zaskoczenia. Młodszy funkcjonariusze, przebrani za bezdomnych - jak duchy z opuszczonych zakamarków miasta - pod osłoną nocy wślizgnęli się w okolice znanej kryjówki Haarmanna i jego nieodłącznego wspólnika, Hansa Gransa. Każdy krok był starannie wyliczany, każdy szept - cichym, niemal rytualnym echo dawnej grozy. Przez całą noc napięcie rosło, a ulice, które dotąd milczały, zaczynały tętnić cichym szmerem przygotowań do decydującego momentu.

Pod osłoną ciemności, policjanci zbliżali się do budynku, w którym od dawna czaiło się zło. W ich oczach tliła się determinacja - wiara, że dzięki ich wysiłkowi, ofiary, które zniknęły bez śladu, w końcu odzyskają spokój. Cichy sygnał, przemykający między członkami oddziału, zwiastował rozpoczęcie akcji.

Wczesnym rankiem, gdy pierwszy promień słońca z trudem przebijał się przez kurtynę mgły, funkcjonariusze zamknęli krąg wokół kryjówki. Każdy szczegół tej operacji przypominał o precyzji działania, jaką cechował się mroczny rytuał Haarmanna. Policjanci działali niemal bezszelestnie, poruszając się jak cienie, które na moment zawisły nad miastem.

Gdy drzwi do mieszkania zostały nagle rozbite, zapanowała burza - z jednej strony stłumione krzyki, z drugiej jednak nieprzerwana cisza, która zdawała się potęgować atmosferę nieuchronnego końca. W samym środku chaosu znaleziono obu mężczyzn - Haarmanna, o twarzy pozbawionej emocji, oraz Hansa Gransa, który z wyrazem zaskoczenia i rezygnacji patrzył na nadchodzących funkcjonariuszy.

Chwilę trwało, jakby czas zatrzymał się w miejscu. W powietrzu unosił się zapach zimnej krwi i wilgoci, a światło poranka powoli rozpraszało mroczne cienie, które przez tak długi czas osłaniały zbrodnie. Haarmann, z charakterystyczną dla siebie spokojną precyzją, poddał się bez walki - jakby był już zmęczony ciężarem własnych czynów. W jego oczach nie migotała już ta znajoma błyskotliwość, a jedynie pustka, która świadczyła o upadku, jaki nastąpił po latach bezwzględnej brutalności.

Hans Grans, choć wciągnięty w mroczną symfonię zbrodni, nie był już w stanie ukryć swej roli. Jego partnerstwo z Haarmannem, oparte na wzajemnej zależności i milczeniu, rozpadło się w obliczu nieuniknionego starcia z prawem. W jednej chwili, w cieniu porannego światła, wszystko nabrało dramatycznego wymiaru - milczenie, które przez lata maskowało niewyobrażalną przemoc, zostało przerwane dźwiękiem kajdanek i twardych rozkazów funkcjonariuszy.

Cisza, która panowała w mieszkaniu, została przeniknięta przez stłumione westchnienia i szelest ubrań, gdy policjanci zabezpieczali miejsce zdarzenia. Każdy gest, każdy ruch, był częścią niepowtarzalnego rytuału schwytania, który miał na zawsze zamknąć rozdział strachu i tragedii. Mroczne zakamarki mieszkania, gdzie przez lata ukrywały się niewypowiedziane zbrodnie, stały się sceną ostatniego aktu - sceną, w której sprawiedliwość, choć opóźniona, miała zawładnąć losem ludzi, którzy zbyt długo pozostawali w cieniu.

Schwytanie Haarmanna i Gransa nie było jedynie operacją policyjną - było symbolicznym zwycięstwem nad złem, które przez lata zatruwało serce Hanoweru. Dla mieszkańców miasta ten moment stał się zapowiedzią nowego początku - czasu, kiedy ofiary mrocznych rytuałów mogły choć na chwilę poczuć, że sprawiedliwość jednak zwycięża. W oczach funkcjonariuszy, którzy przez długie miesiące ścigali każdy cień podejrzenia, kryło się przekonanie, że ich poświęcenie nie poszło na marne.

Na ulicach Hanoweru zapanowała niepewna cisza - cisza, która była jednocześnie echem minionych tragedii i zwiastunem nadchodzącej zmiany. Mieszkańcy, którzy przez lata żyli w atmosferze nieustannego lęku, zaczęli wychodzić ze swoich domów, niepewni, czy prawdziwy koniec koszmaru nadszedł, czy dopiero ma się rozpocząć. Jednak w powietrzu czuć było nadzieję - nadzieję, że w obliczu tak precyzyjnie przeprowadzonej operacji, zło, które przez lata trzymało miasto w żelaznym uścisku, w końcu zostanie wyparte przez światło sprawiedliwości.

W tej chwili, w tej niepowtarzalnej scenie schwywania, każdy detal - od cichych kroków policjantów, po ostatni, bezdźwięczny oddech Haarmanna - był świadectwem nieubłaganego toku historii. To była chwila, w której mrok ustąpił miejsca jasności, a każdy, kto miał okazję uczestniczyć w tej operacji, na zawsze zapamiętał, że sprawiedliwość, choć czasem przychodzi z opóźnieniem, zawsze znajdzie sposób, by dosięgnąć tych, którzy zgubili się w otchłani własnych demonów.



Detmold's Hotel
Hans Grans



Hans Grans, Hotel Grans

Haarmann's Friend Hans Grans



Kamienica, w której doszło do zbrodni.
Poniżej Hans Grans.



Uśmiechnięty Haarmann już jako więzień.

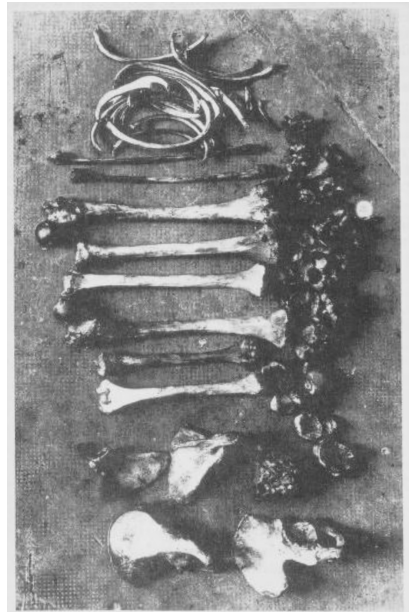


Bundesarchiv, Bild 102-00921
Foto: o. Ang. | Dezember 1924

Hans Grans.



Haarinsassus Hachetiel / Der letzte Wolmotti Raze Reitz 1



Knochenfunde

**Z protokołu Fritz Haarmanna (Fragmenty książki
„Die Haarmann Protokolle autorstwa Christine Pozsár
i Michael Farin)**

*Śledczy - Dlaczego chce pan być stracony?**

*Haarmann - Chcę być z matką w niebie. Tu *(wskazuje na głowę)* zrobią to szybko, gdy będzie ciepło.*

Śledczy - Czy żałuje pan swoich czynów?

Haarmann - To byli tylko „puppenjungs” (chłopcy prostytuujący się). Nikomu nie byli potrzebni.

*Haarmann - Palce wrzuciłem do kibla. Nie zatkało się.
Wcisnąłem guzik i wszystko zniknęło.*

Haarmann - Dopiero jak ich ugryzłem, zobaczyłem, że nie żyją. (robi minę gryzienia)

Śledczy - Ale kiedy zrobiłeś taką minę, musieli być przerażeni.

PROCES BESTII Z HANOWERU

Fritz Haarmann stanął przed wymiarem sprawiedliwości, a sala sądowa Hanoweru zdawała się drzeć pod ciężarem niepojętego strachu i wstrząsu. Dowody - krwawe ślady, szczegółowe zeznania świadków oraz analizy biegłych - jednoznacznie wskazywały na makabryczną systematyczność jego zbrodni. Morderca, znany ze swojego chłodnego dystansu, powtarzał w trakcie przesłuchań swoje usprawiedliwiające wyjaśnienia, mówiąc „tylko gryzłem”, jakby próbując bagatelizować okrutne czyny. Jego pozornie obojętna postawa kontrastowała z brutalnością zbrodni, które przez lata dokonywał z niemal artystyczną precyzją.

Proces trwał nieprzerwanie, a każdy szczegół - od relacji świadków po dowody materialne - budował obraz człowieka, który zatracił wszelkie pojęcie o ludzkiej godności. Publiczność, przytłoczona ciężarem przedstawionych faktów, słuchała ze spokojnym, lecz wyraźnym oburzeniem, a media z ogromnym zainteresowaniem komentowały każdy etap rozprawy. W sali sędziowskiej panowała atmosfera niemal rytualnego napięcia, w której zarówno prokuratorzy, jak i świadkowie nie szczędzili opisów okrutnych metod działania Haarmanna. Jego chłodny głos, pozbawiony skruchy, zdawał się wyrażać pewną fatalistyczną rezygnację - był to człowiek, który w swojej patologicznej kalkulacji próbował usprawiedliwić każdy akt przemocy.

Wśród świadectw pojawiła się również rola Hansa Gransa - współpracownika, który dzięki swojemu pozornie niewinnemu wyglądowi przyprowadzał ofiary do mrocznego gniazda zbrodni. Choć Haarmann nie szczędził krytyki wobec Gransa, określając go często mianem „niegustownego” za sposób doboru ofiar, nie da się zaprzeczyć, że to właśnie dzięki niemu morderca mógł realizować swoje plany. Relacja między nimi była nacechowana tragiczną zależnością - jeden, który działał z zimnym profesjonalizmem, i drugi, będący nieodłącznym ogniwem całej mrocznej układanki. Gransa sąd ocenił jako mniejszego winnego, co skutkowało długoterminową karą pozbawienia wolności. Lata spędzone w ciasnych murach więzienia stały się dla niego codziennym cierpieniem, a życie, pozbawione szans na normalność, upłynęło w cieniu winy i nieuchronnej odpowiedzialności.

W dniu ogłoszenia wyroku atmosfera osiągnęła punkt kulminacyjny. Haarmann, stojąc przed ławą sędziowską, nie okazywał lęku ani skruchy - jego twarz pozostawała niewzruszona, a słowa, które wypowiadał, brzmiały chłodno i zdawały się być wyrazem fatalistycznej rezygnacji. W jednym z przesłuchań, gdy zapytano go o sposób postrzegania własnych czynów, morderca powiedział:

„Skazujecie mnie na śmierć, a ja proszę tylko o sprawiedliwość. Nie jestem szalony. Zróbcie to prędko, byle szybko. Wybawcie mnie od życia, które jest męczarnią. Nie będę prosił o łaskę, nie będę się odwoływał. Chcę spędzić tylko jeszcze jedną wesołą noc w celi z kawą, serem i cygarem. Potem przeklnę mojego ojca i pójdę na egzekucję.”

Te słowa, wypowiedziane z ironicznym spokojem, oddawały mieszaninę desperacji i pewności siebie - deklarację, że życie, pełne cierpienia, jest dla niego jedynie przejściem, a koniec ma stać się ulgą. Proces i wyrok stały się nie tylko wymiarem sprawiedliwości, ale i symbolicznym końcem pewnej ery, w której zło, niezależnie od prób jego ukrycia, musiało znaleźć swój kres.

W grudniu 1924 roku, w dniu egzekucji, atmosfera była ciężka, a cisza, która zapanowała wśród zgromadzonych, była niemym świadectwem nieuchronności losu mordercy. Na oczach publiczności, przy ścisłej obserwacji służb, Haarmann został pozbawiony życia. Egzekucja, przeprowadzona z zachowaniem wszystkich ówczesnych procedur, miała charakter niemal rytualny - końcowy akt w dramacie, w którym ludzkie życie i śmierć były równie nieubłagane wyważone. Chwilę przed upadkiem gilotyny, gdy napięcie osiągnęło zenit, morderca wypowiedział jeszcze jedno, krótkie zdanie, które stało się ostatecznym świadectwem jego wewnętrznej postawy:

„Żałuję, ale nie boję się śmierci.”

To jedno, zwięzłe wyznanie, pełne sprzeczności i chłodnej determinacji, stanowiło ciekawy finał tej tragicznej opowieści - przypomnienie, że sprawiedliwość, choć czasem powolna, zawsze zatacza krąg nad tymi, którzy zatracili wszelkie pojęcie o człowieczeństwie.

Los Hansa Gransa, choć mniej medialny, był równie bolesny. Po procesie Gransa skazano na długie lata pozbawienia wolności, a jego życie w murach więzienia stało się cichą tragedią, będącą dowodem na to, że współudział w najciemniejszych zbrodniach nie pozostaje bezkarny. Każdy dzień, każda minuta spędzona w izolacji, była przypomnieniem o ciężarze winy, który nigdy nie mógł zostać zmazany.

Proces i egzekucja Fritza Haarmanna stały się mroczną lekcją, że każda zbrodnia, niezależnie od sposobu jej ukrywania, musi w końcu spotkać się z nieubłaganą karą. Historia ta, pełna dramatyzmu i społecznego oburzenia, na zawsze pozostanie przestrogą dla przyszłych pokoleń - świadectwem, że granica między człowieczeństwem a potwornością jest niewyobrażalnie cienka, a sprawiedliwość, choć czasem wyrażona poprzez długotrwałe cierpienie, nigdy nie zawodzi.